

Ekologia według dziadka

(Magdalena Ledwoń)

– A wiesz, wnuczku, że kiedy byłem małym chłopcem, w naszym domu też stosowaliśmy recykling? – powiedział dziadek Bogdan, kiedy Krzyś skończył się dzielić wrażeniami z warsztatów o ochronie środowiska, które odbyły się w jego przedszkolu. – Naprawdę? – zdziwił się chłopiec. – Przecież nasza pani mówiła, że w Polsce dopiero od niedawna jest taka moda.

– Z tego, co wiem – dziadziuś ciągnął temat – to wasza pani jest mniej więcej w wieku twojej mamy, prawda? – Krzyś pokiwał twierdząco głową. – Czyli nie było jej jeszcze na świecie, kiedy ja byłem w twoim wieku. – Wnuczek znów przytaknął dziadkowi. – Więc pewnie nie wie, co się wtedy robiło z odpadkami... Ale, jeśli chcesz, to ja ci chętnie opowiem. Będziesz mógł podzielić się tą wiedzą ze swoją panią i kolegami z przedszkola.

Krzyś aż podskoczył z radości. Pani Zosia jest bardzo mądra, wie bardzo dużo, więc wiedzieć o czymś, o czym ona nie ma zielonego pojęcia, to jest coś!

– Zacznę od tego – podjął temat dziadek Bogdan – że kiedy ja byłem mały, nie mieliśmy takich kartonowych opakowań na mleko czy napoje, jakie są teraz. Ba! W ogóle nie było mleka w kartonie ani soków w plastikowych butelkach.

Oczy Krzysia zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– To co wy piliście, tylko wodę? – zapytał.

– Nie. – Zaśmiał się dziadziuś. – Nasza mama robiła kompoty z owoców, które zbieraliśmy w sadzie za domem. Latem codziennie gotowała świeży. A na zimę zaprawiała kompoty i soki w słoiczkach. Słoiki trzeba było kupić w sklepie, ale można ich było używać przez kilka lat z rzędu. No chyba że któryś się rozbił, wtedy zbierało się skorupy i zanosilo się je do sąsiadów, którzy budowali domy. W tamtych czasach panowała śmieszna moda. Kiedy murarze pokrywali dom tynkiem, wkładali takie potłuczone szkierka albo lusterka w świeży tynk. Elewacja na takich domach błyszczała i połyskiwała na słońcu. – Dziadek zamyślił się na chwilę, jakby widział ten dom oczyma wyobraźni. Po chwili jednak ciągnął dalej swoją opowieść. – Zaś mleko mieliśmy prosto od krowy. Moje siostry, ciocia Władzia i ciocia Stasia, codziennie przed szkołą musiały wydoić krowy. Przynosiły mleko w wiadrach do domu. Mama część mleka zostawiała dla nas. Stało w wielkim garnku w spiżarni. Drugą część przelewała do wielkich blaszanych baniek i wystawiała na ławeczce przy drodze. Panowie z mleczarni podjeżdżali ciężarówką i zabierali nasze mleko. Później w szklanych butelkach trafiało do sklepów w mieście. Ale nigdy nie było zapakowane w karton – dodał dziadziuś.

– Czyli nie było plastikowych butelek ani kartonowych opakowań? – upewnił się Krzyś.

– Powiem ci jeszcze, że nie mieliśmy w ogóle plastikowych opakowań. Ani foliowych reklamówek i woreczków na śniadanie. – Dziadek był wyraźnie rozbawiony zdziwioną miną wnuczka.

– Nie? To w czym nosiliście zakupy? – dopytywał Krzyś.

– Na zakupy chodziliśmy bardzo rzadko. Ale kiedy już się wybraliśmy, to mieliśmy ze sobą koszyki. Mój dziadek, a twój prapradziadek plół takie koszyki z gałęzi wiłliny, która rosła kępami w sąsiedztwie naszych pól. Nawet gałęzie poddawaliśmy recyklingowi – zażartował.

– To skąd braliście jedzenie? – zapytał wnuczek.

– Wszystko, czego potrzebowaliśmy, rosło albo na naszym polu, albo w naszej oborze. – Zaśmiał się dziadek, ale widząc zaskoczoną minę Krzysia, kontynuował swoją historię. – Mięso mieliśmy z kur, kaczek, królików i świnek, które mój tata hodował w stajni. Z tego mięsa twój pradziadek robił też wędliny. Kury i kaczki niosły nam jajka. Moim codziennym zadaniem było wybieranie jajek z kurzej grzędę. Skorupki, które zostawały po rozbiciu, mama rozgniatała na małe kawałeczki i dawała znów kurom do jedzenia wymieszane razem z ziarnem, żeby miały wystarczająco dużo minerałów, aby dalej nieść jajka. Oprócz tego mieliśmy krowę i kozę, które dawały mleko. Z mleka moja mama robiła sery. Warzywa mieliśmy z naszego pola. Obierki z warzyw, zepsute owoce czy liście z sadu i słomę, którą wymiataliśmy spod zwierząt, zrzucaliśmy do specjalnie przygotowanej dziury za stajnią. Tam zamieniało się to wszystko w nawóz, który później wywoziliśmy z tatą na pole, żeby użyźnić ziemię. – To tak jak my! Tylko że my wyrzucamy bioodpadki na kompostownik. A jak zamienia się w nawóz, razem z tatą podsypujemy krzewy i drzewka w naszym ogrodzie. Opowiedz mi coś jeszcze, dziadziu – poprosił Krzyś.

– Chleb piekła moja mama w domu. Do sklepu chodziliśmy po mydło, potrzebne było nie tylko do mycia, ale też do prania. Nie kupowało się mydła w takich pięknych kolorowych opakowaniach. Stało ułożone na półce w kostkach, takich w szaroburym kolorze. Ale przynajmniej było o wiele bardziej przyjazne dla środowiska niż współczesne proszki i detergenty do prania – stwierdził dziadek. – Czasami mogliśmy kupić sobie cukierki. Oczywiście, były sprzedawane bez papierków. Pan sprzedawca nakładał łopatką cukierki do rożka zrobionego z wczorajszej gazety i zawijał górną część, żeby cukierki nie wypadły, a potem je ważył. W ogóle w gazety mama pakowała nam drugie śniadanie do szkoły. Nie marnowaliśmy wtedy papieru. Najpierw czytało się gazetę, później przerabiano ją na opakowanie, a na koniec służyła jako podpałka do pieca. W sklepie kupowaliśmy też masło. Masła nie pakowano w gazetę, tylko w specjalny pergaminowy papier. Moja mama zbierała te arkusze, a później wykładała nimi blachę, w której piekła ciasta.

– A ubrania skąd braliście? – dopytywał Krzyś.

– Ubrania też rzadko dostawaliśmy, zazwyczaj szyła nam je mama. Ale kiedy już kupiono nam coś nowego, dbaliśmy o tę rzecz. Najpierw chodziliśmy w tym wyłącznie do kościoła albo do lekarza lub zakładaliśmy nowy strój, gdy jechaliśmy do miasta. Kiedy ubranie się zniszczyło, mogliśmy nosić je do prac w stajni i polu. A kończyło żywot jako kapota na strachu na wróble albo jako ścierka kuchenna. Czasami zdarzało się, że nie zdążyliśmy znieść ubrania. Wtedy oddawaliśmy je młodszemu rodzeństwu albo kuzynostwu. Naprawdę nic się wtedy nie marnowało – wspominał dziadek Bogdan. – Dobrzy gospodarze starali się naprawić każdą zepsutą rzecz, a jeśli się nie udało, to wykorzystywali ją do innych celów, np. uszkodzone garnki najpierw się naprawiało, a kiedy już nie mogły służyć w domu, stawały się miską dla psa, karmnikiem dla drobiu albo pojemnikiem na śruby lub gwoździe w tacy

warsztacie. U twojego pradziadka w komórce pełno było różnej wielkości metalowych puszek po konserwach, w których trzymał różne drobne przedmioty i narzędzia. Dzbanki i kubki z uszkodzonymi uszami mama obsadzała kwiatami lub ziołami i stawiała na parapecie. Raz mój tatuś przerobił stare koło roweru na korbę do wyciągania wody ze studni.

Krzyś w duchu przyznał rację dziadkowi. Recykling to w końcu przerabianie starych, zużytych przedmiotów na zupełnie nowe, które znów można wykorzystać.

Dziadek opowiedział też Krzysiovi o tym, jak wspólnie z kolegami kąpali się w rzece za wsią, bo woda w niej była bardzo czysta. O tym, jak zamiast lodów lizali zimą sople lodu. Można to było robić, bo w powietrzu, chmurach i śniegu nie było zanieczyszczeń, których teraz jest niestety pełno. Krzyś zazdrościł dziadkowi, że mógł pić wodę bezpośrednio ze źródła, bo nie było skażone środkami chemicznymi, a w lesie zamiast butelek i puszek znajdował jagody i grzyby.

Tego dnia, kiedy Krzyś kładł się do łóżka, marzył o tym, że kiedy dorośnie, to będzie mógł, jak jego dziadek, popływać w rzece, a nie w basenie. A póki co postanowił walczyć z zaśmiecaniem środowiska. Jak? Może będzie przypominał mamie, żeby zabierała ze sobą koszyk, kiedy będzie szła na zakupy do osiedlowego sklepu...